

Latem 1919 roku osiemnastoletni Piotr Chabiera podjął decyzję o zaciągnięciu się na wojnę polsko-bolszewicką. Opuścił Seminarium Nauczycielskie w Siennicy. Udał się do Warszawy, gdzie wstąpił w szeregi 1 Pułku Szwoleżerów. Swoją służbę wojskową zakończył w październiku 1920 roku. Rozkazem pułkowym został z niej zwolniony celem kontynuowania nauki. Do szkoły jednak nie wrócił. Nie został nauczycielem. I właściwie trudno określić, co robił pomiędzy jedną a drugą wojną. Wiadomo, że pracował jako brakarz w tartaku, podejmował zatrudnienie na budowie, przez jakiś czas był bezrobotny, a potem znowu zatrudnił się jako brakarz. Założył rodzinę. O latach międzywojennych wiemy niewiele. Nie wydawały się one autorowi wspomnień na tyle istotne, aby znaleźć dla nich miejsce w pamiętnikach. To z wojny uczynił swój główny temat i jej poświęcił swoje zapiski. Najpierw wojnie polsko-bolszewickiej, potem drugiej wojnie światowej, w trakcie której walczył w AK. Było jeszcze dzieciństwo i młodość. Wspomnienia z tego okresu spisał, będąc na emeryturze.

Prezentowane fragmenty wspomnień z wojny polsko-bolszewickiej obejmują okres od maja do października 1920 roku, czyli od zajęcia przez wojsko polskie Kijowa do podpisania rozejmu przez stronę polską i bolszewicką. Czas ten charakteryzuje się niezwykle dynamicznym zdarzeń. Najpierw euforia ze zdobycia Kijowa, potem ofensywa bolszewicka i towarzyszące jej poczucie klęski. Następnie odparcie wroga na przedpolach Warszawy i kontrofensywa polska. Radość zwycięstwa. I na koniec poczucie niepewności: „Co my teraz będziemy robić, skoro wojna się skończyła?” – zastanawia się autor wspomnień.

Piotr Chabiera swoje wspomnienia spisywał w dwudziestoleciu międzywojennym. Trudno jest określić dokładny czas ich powstania. W pamiętnikach pojawia się wzmianka, że odtworzył je na podstawie notatek frontowych. Po drugiej wojnie światowej tekst został przepisany na maszynie – w tym przypadku również trudno określić dokładną datę. Maszynopis został podzielony na dwa tomy zatytułowane: *Szwoleżery* oraz *Boje o Warszawę*. Poprzedza je tom pod tytułem *Dzieciństwo i szkoła*, obejmujący lata 1901–1919. Dopełniają wspomnienia okupacyjne. Całość została przepisana na maszynie w kilku egzemplarzach. W takiej formie funkcjonowała w obiegu wśród rodziny i najbliższych przyjaciół. Pojedyncze fragmenty publikowane były w prasie lokalnej.

Piotr Chabiera

## Wspomnienia 1920

### KIJÓW

Rozbici pod Malinem, Irszą i Borodzianką bolszewicy pozostawili nam wolną drogę do Kijowa. Jedziemy z dumą zwycięzców. My, młodzi żołnierze, już mamy za sobą kilka zwycięskich bitew i niebezpiecznych sytuacji. Zahartowały one nasze nerwy i odwagę. Zresztą kampania kijowska nie jest dotąd dla nas trudna, raczej udana. Nadal oprócz

lokalnych utarczek nie ma większych operacji. W wielu wypadkach wyręczają nas petlurowscy partyzanci.

W odległości kilkunastu kilometrów od Kijowa pod wsią Nowyje Detrowicy ukraińscy chłopcy informują nas, że krasnoarmiejcy okopują się nad rzeczką, robią zasieki z kolczastego drutu, stawiają działa, przygotowując obronę. Wieś położona jest nad głębokim jarem, który szerokim lejem przechodzi w dolinę opodal płynącego Dniepru. Cały dywizjon nasz zatrzymuje się w lesie pod wsią. Rozjeżdżają się patrole nasze we wszystkich kierunkach. Z kilku szwoleżerami i kapralem Stawińskim jedziemy prosto gościńcem do wsi. Jadę w szpic. Spotykam starą Ukrainkę idącą z tamtej strony. – Babuszka, gdzie bolszewiki? – pytam. – Sokolik ty moj, nie chody tam. Bohato bolszewików. Ony mająt asudia i pulimioty. Wsich ludej z derewni nahnal kopot' transzei. Wernyi myfeńki, a ubiut! – ostrzega staruszka. – Spasybo, babuszka. Mnie treba tam jehat! – S Bohom, synok! Szczasliwo!

Dojeżdżamy do chutoru odległego o kilka staj od wsi i zatrzymujemy się za osłoną zabudowań. Obserwujemy wieś. Widać w oddali żołnierzy sowieckich i cywilów. Panuje tam gorączkowy ruch. Wtem z zagłębienia jaru wyjechało kilku kawalerzystów. Patrol sowiecki. Jadą w naszą stronę. Już są blisko. Gruchnęła salwa. Trzech jeźdźców spadło z koni. Reszta w tył i w nogi. Tam na wzgórzu za wsią zaroilo się od żołnierzy. Daliśmy jeszcze parę salw. Nikt nam nie odpowiada. Nadciąga kłusem cały nasz dywizjon. Ława szwoleżerów rozwija się półkolem, oskrzydłając wieś. Krasnoarmiejcy szybko wycofują się. Posuwamy się naprzód i docieramy do opuszczonej przez nieprzyjaciela pozycji. Okopy wolne. Pełno w nich porzuconej broni i amunicji. Zatrzymaliśmy się w Nowych Petrowicach, czekając na dalsze rozkazy. – No to jak, chłopcy, pojedziemy dziś jeszcze do Kijowa? – pyta nas dowódca szwadronu por. Dudziński. – Jedziemy! Jedziemy! – krzyknęliśmy chórem. Po godzinnym postoju por. Dudziński wystął kilkunastu szwoleżerów pod wodzą frajtra Szumińskiego na patrol do Kijowa. Za pół godziny ruszamy stępem tą samą drogą. Z daleka na wzgórzu przed nami widać niewyraźne kształty wielkiego miasta. Szumiński wrócił z patrolem, meldując, że droga wolna. Ruszamy podnieceni z Nowych Piotrowic. Za półtorej godziny prosto traktem dojeżdżamy do przedmieścia Kijowa – Puszczy Wodyci. Brukowana ulica. Z boku tor tramwajowy. Na prawo ogrody, sady i wille podmiejskie. Na lewo rząd kamieniczek czynszowych.

Zatętnił bruk od kopyt końskich. Z okien kamienic wychylają się ludzie i patrzą na nas z ciekawością i trwożą zarazem.

– Co to za wojsko? – cisną się pytania. Widzieli różne wojska, różnych ludzi i mundury. Widzieli Niemców, wojska carskie i czerwone, armię Denikina, bał'ki Machno, Petlury, ale tych jeszcze nie widzieli. – A wy szczo ce takie? – zapytał ktoś odważniejszy. – Polacy! – odpowiadamy. Zdziwił się ogromnie. – Polaki? Uże w Kiiwi poliaki? My baczyli szczo paliaki, gde że biut Moskaliw. Daze tiazko uwirit' szczo w Kiiwi!

– Polacy w Kijowie! – gruchnęła wieść po całej ulicy. Uśmiech na twarzach i przyjazne spojrzenia są dowodem, że w Kijowie darzą nas sympatią.

Zatrzymujemy się naprzeciwko dużego parku. W głębi widać piękny biały pałacyk. Zsiadamy z koni i przez rozebrane naprędcę przęsto parkanu wprowadzamy konie do parku.

Koniowody pozostają przy koniach, a reszta z karabinkami w rękę wychodzi na ulicę. W pierwszej chwili jakiś cywil podchodzi do por. Olszewskiego i powiada, że niedługo tędy nadjedzie tramwaj z bolszewikami.

Rozwijamy się szybko w tyralierę wzdłuż parkanu i czekamy na nieprzyjaciela. Za parę minut rzeczywiście nadjeżdża tramwaj. Krótka seria z erkaemu i tramwaj zatrzymuje się. Wpada kilku do środka. Oprócz trzech robotników, motorniczego i worków z prowiantem nie ma nic więcej.

Por. Olszewski wpada na śmiały pomysł. Proponuje, żeby tym tramwajem pojechać do śródmieścia i zobaczyć, jak się przedstawia sytuacja w Kijowie. Poparliśmy ten projekt. Wsiadamy w dziesięciu na ochotnika do tramwaju. Na przednim i tylnym pomoście robimy barykady z worków z kaszą i mąką, ustawiając w szczelinach między workami nasze dwa pięćdziesięciostrzałowe colty. Sami, ukryci za workami, trzymając karabinki, jesteśmy gotowi do wycieczki. Trzech robotników zostawiamy na miejscu. Pozostał motorniczy. Ruszamy, motorniczy drży ze strachu, póki żyje, nie przewoził jeszcze takich pasażerów.

Tramwaj sunie powoli. Na ulicach spokój. Nikt nie zwraca na nas uwagi. Dziwne, że bolszewicy nie zauważyli naszej wizyty. Na rogu jednej z ulic stoi krasnoarmiejec na warcie. Przechadza się spokojnie z karabinem na ramieniu. Dajemy znak motorniczeemu i tramwaj staje. Wyskakuje dwóch szwoleżerów.

– Ruki w wierch! – i dwie lufy przykładają mu do piersi. Bolszewik drgnął, wybałuszzył oczy, zbladł, oddał karabin i posłusznie cicho ulokował się jako nasz pierwszy pasażer zaproszony do tramwaju. Ruszamy dalej. Po drodze spotykamy znów trzech krasnoarmiejców. Ta sama historia. Posuwamy się ostrożnie coraz dalej, zbierając po drodze wąłających się sowieckich żołnierzy. Siedzą cicho, nie dowierając własnym oczom, co się z nimi stało. Jest ich już ośmiu.

Wreszcie zbliżamy się do śródmieścia. Piękne domy piętrowe i bogate gmachy wznoszą się po obu stronach szerokiej ulicy. Obszerne wystawy sklepowe świecą pustkami. Ludność, korzystając z pogodnego i ciepłego przedwieczera majowego, wyległa na ulicę. Spacerują albo stoją grupkami przed bramami kamienic. Nikt na nas nie zwraca uwagi. Nikt nie podejrzewa, że niewinnie sunący tramwaj z prowiantem lada moment może wywołać wielką burzę.

Obserwujemy przez szczeliny między workami miasto i ludzi. Przyglądamy się, jak urodzive kijowianki w lekkich sukienkach, w trepkach na bosych nogach kłapią drewnianymi podeszwami po betonie chodnika. Na moment zapomina się, że jesteśmy w nieprzyjacielskim mieście. Przed nami z herbaciarni wyszło dwóch sowieckich oficerów. Skręcili na chodnik i rozmawiają z przejęciem. Mają czerwone gwiazdy naszyte na rękawach skórzanych kurtek i przy boku w kaburach pistolety. Równamy się z nimi. Tramwaj stanął. Wyskakuje trzech szwoleżerów. – Ruki w wierch! – i zostają otoczeni. Jeden z oficerów zbladł i stanął jak wryty. Drugi błyskawicznie sięgnął ręką po broń.

Stojący za nim szwoleżer Czerniakowski pchnął go mocno kolbą karabinu w kark, aż oficer padł rękami na chodnik.

Stało się to tak błyskawicznie, że zanim obecni przy tym przechodnie zorientowali się, o co chodzi, szwoleżerowie ulokowali się ze swą zdobyczą w tramwaju.

Jesteśmy już na ulicy Kreszczatik. Niebezpiecznie jechać dalej. Wracamy. Mamy szczęście. W samą porę. Już za nami pogoniły strzały karabinowe. Motorniczy zasuwa pełnym biegiem. Ściskamy w garści karabiny. Szwoleżer Jackiewicz z tylnego pomostu co chwila sypnie krótką serią z colta. Ulica pustoszeje. Ludzie co sił kryją się do bram. Coraz gęściej huczą strzały, odbijając się echem w murach kamienic. Jeszcze minuta, dwie i dojeżdżamy szczęśliwie do swoich. Niepokoiłi się o nas. Otarzają nas kołem i wypytują o szczegóły wypadku. W tejsze chwili rozlega się huk artylerii sowieckiej. Biją salwami na oślep. Już lecą z okien szyby i dachówki z dachu. Nad miastem widać stupy ognia i dymu. Wsiadamy na koń i wracamy z jeńcami do Nowych Petrowic. Zapada wieczór, a bolszewicy dalej z armat bombardują Kijów.

Nazajutrz wyjechaliśmy we dwóch z Pietrowic spatrolować wybrzeże Dniepru. Malowniczym jarem zjeżdżamy w dół ku rzece. Kręta ścieżka zygakiem prowadzi coraz niżej. Poszarpane zbocza jaru udekorowane są zielenią i kwieciami rosnącej dziko roślinności. Środkiem jaru płynie wartko ze szmerem strumyk spienionej wody. Im bliżej Dniepru, jar się rozszerza, tworząc rozległą polanę, na której nad strumieniem rysują się w porannej mgle białe chaty Starych Petrowic. W oddali, za wsią, niby we wrotach otwartego jaru błyszczą i mieni się barwami wschodu szeroko rozlany Dniepr. Jesteśmy już nad rzeką. Konie stąpają cicho po nadbrzeżnym piasku. Jedziemy zadumani pod wrażeniem pięknego pejzażu, śpiewu ptactwa i plusku fal Dniepru. Świeże, wilgotne powietrze napętnia płuca, aż człowiek czuje się tak rześki i radosny, że rad by cały świat przygarnąć w objęcia.

Nad rzeką nic ważnego nie daje się zauważyć oprócz sterczącego do połowy z wody działą polowego, jaszczy z amunicją i różnych skrzynek. Nieprzyjaciela ani na oko. Wracamy.

Na trzeci dzień, 7 maja, o świcie ruszyliśmy całym dywizjonem z Petrowic do Kijowa. Kijów opasany pierścieniem wojsk generała Rydza-Śmigłego. Wypoczęci i w złotych humorach walimy wyciągniętym kłusem, aby prędzej, nim nadciągną inne oddziały, wejść do miasta.

Już purpurowa tarcza słońca wypłynęła na pogodne niebo. Już z porannych mgieł wyłoniły się zielone parki i sady Puszczy Wodyci. Już zamigotały złotem i czerwinią krzyże cerkiewne i dachy Kijowa.

Dudni bruk pod kopytami naszych koni i przez przedmieście Kurenikwę wpadamy do miasta. Oczekując wielkich wydarzeń, pomimo wczesnego rana, nie zaspali kjiwianie. Na nasz widok momentalnie zaludniają się ulice i rośnie tłum.

Na twarzach widać przyjazne uśmiechy, a pęki bzu i kwiecica w rękach kobiet są wyrazem nieklamanej dla nas sympatii.

Obdarowani kwieciami mijamy kilka ulic, plac Aleksandra i wjeżdżamy na Kreszczatik. Po obu stronach ulicy ludzi co niemiara. Trudno przejechać. Naraz tłum zakotłował się i ogarnięty entuzjazmem ryknął: – Polacy niech żyją! Niech żyją! – skandując bez przerwy. Kobiety tłoczą się do nas, podając wiązanki bzu i czeremchy. Za chwilę jesteśmy obładowani kwiatami, że już niepodobna więcej przyjmować. Lecz powódź kwiatów nie ustaje. Ręce uroczych kijowianek wciąż wyciągają się z kwieciami do nas. Dziękujemy im serdecznie i obdarzamy je wzajemnie otrzymanymi kwiatami. Okrzyki grzmią bez końca. – Polskie wojsko! Polacy! Niech żyją! Brawo! Hurra!

## **OFENSYWA BUDIONNEGO**

Beztrioskie dni na kwaterach zakłóciły nam złowrogie wieści z frontu. – Kijów zabrano! Armia Konna Budionnego przerwała linię naszych wojsk na południu, opanowała Ukrainę i w szybkim tempie swymi zagonami przebiegła na Wołyń i Małopolskę Wschodnią. (...) Jedziemy nie zdobywać, tylko bronić się przed całkowitą klęską. Komunikaty prasowe alarmują o coraz to nowych zwycięstwach nieprzyjaciela.

Dojechaliśmy do Równego. Na stacji ruch gorączkowy. Transporty wojskowe wyładują się z pociągów. Montują na rampach samoloty. Zjeżdżają z platform samochody i czołgi. Wyładujemy się i my. Za chwilę podjeżdżają dwa składy pod rampę. To drugi i trzeci szwadron naszego pułku. Reszta jeszcze w drodze. Czekamy z końmi na stacji. Niektórzy koledzy poszli do kantyny dworcowej po zakupy. Na stacji pełno żołnierzy i cywilów. Ostre pogotowie. Z dala dymi parowóz pociągu pancernego „Lis-Kula”. Na mieście jeszcze względny spokój. Sklepy otwarte i dobrze zaopatrzone. Miasto robi wrażenie, że wróg jeszcze daleko.

Nad wieczorem otrzymaliśmy rozkaz wymarszu do odległego o kilkanaście kilometrów miasteczka Zdołbunów na nocleg. W Zdołbunowie spokój. Jest sporo wojska, a na stacji stoją dwa pociągi pancerne. Zatrzymaliśmy się chwilę, ale wkrótce ruszamy dalej do odległej o trzy kilometry wioski ukraińskiej. Kapral Jakubowski i z kilkoma szwoleżerami ruszył naprzód, aby nam obrać kwatery na nocleg. Już zupełnie ciemno. Jedziemy stępa senni i zmęczeni parodniową podróżą z końmi w wagonach. (...)

## **ZAWIDCZE**

Ujechaliśmy zaledwie około trzech kilometrów, gdy ni stąd, ni zowąd za nami rozległy się strzały. Kolumna stanęła. Obracamy się twarzami za siebie. Strzały huczą coraz bardziej i słychać okrzyki – Hurra! Wygląda na to, że bolszewicy zaatakowali ponaniaków i zajęli wieś Zawidcze. We wsi wciąż huczy i naraz widać, jak stamtąd wysuwa się długa kolumna jazdy. Przyglądam się lepiej i widzę same konie bez jeźdźców.

– Widzicie? To koniowody naszych ułanów uciekają?

– Prawda! Prawda! – potwierdzają koledzy. – Poznaniacy nie wytrzymali i Kozacy zajęli wieś!

– Patrzcie! O tam z boku... łąka... gonią ich... szarżują!

– O tam na prawo cała kupa... walą! Psiakrew!

– Czego my stoimy? Trzeba im pomóc, bo Kozacy zafasują poznańskie – denerwują się szwoleżerowie, nie mogąc ustać na miejscu.

– Pierwszy szwadron! Za mną kłusem marsz! – podaje komendę por. Dudziński i jak strzała rusza na pole walki. Ruszyliśmy za nim. Zadudniła ziemia, a chmura kurzu przestoniła horyzont. Z kłusa wpadamy w galop i jak lawina z hukiem i szcękaniem pędzimy naprzód. Żołnierze z niecierpliwości zgrzytają zębami, ściskając w rękę obnażone szable, i pędzą byle prędzej. Mijają minuty i już zblizamy się do wsi Zawidcze. Akurat z lewej strony pędzi dywizjon 17 pułku ułanów pod wodzą byłego naszego dowódcy rotmistrza Kmicica-Skrzyńskiego. Wpadamy prawie jednocześnie. Kmicic uśmiechnął się, spojrzął na nas, osadził konia i zawołał do swoich żołnierzy: – Stój! Szwoleżerów puścić naprzód!

Ułani osadzili konie na miejscu, zostawiając nam wolną drogę. Już dopadamy wsi. Przed nami grupki jadących Kozaków. Za chwilę zza zabudowań i ogrodów wiejskich wysypuje się ćma jazdy Budionnego. Błyskawicznie rozwijamy się w ławę i ruszamy z miejsca do szarży. Zawyli dzikim wraskiem Kozacy, zamigotały wzniesione w górę szable, pochyliły się nade łbami koni groty lanc kozackich, jęknęła ziemia pod tysiącem kopyt i runęliśmy na siebie. Uderzenie było straszne. Szczęk szabel, ogłuszająca wrzawa walczących, konie stają dęba, gryzą, kopią, trą kupą. Piki kozackie w tłoku kruszą się i łamią lub wypadają z rąk od impetu. W tłoku tylko przeszkadzają. Zawrzało jak w ulu. Słowem – piekło! Czerń kozacka nie wytrzymała uderzenia. Już nie prą naprzód, ale opędzają się szablami jak przed stadem wilków. Padły pierwsze szeregi i straty po obu stronach znaczne. Szwoleżerowie nacierają dalej, rąbią szablami, strzelają w tłoku z pistoletów wprost we wraże łby. Krew się leje, padają zabici i ranni pod końskie kopyta. Nie ma litości ani opamiętania. Wrzawa, zgiełk, huki wystrzałów, szczęk szabel, jęki rannych tworzą niesamowitą kakofonię. Ogłuchnąć można. Widzę przed sobą migające twarze ludzkie, łby końskie, czapy baranie i rozgorzałe oczy. Co chwila przemyka ktoś obok, ociera się o mnie, tnę na prawo i lewo. Czuję tylko, że szabla czasem o coś uderza, grzęźnie, sphywa krwią, odbija się z brzękiem, a koń sady, wierzga kopytami, pędzi jak oszalały. Nie wiem, gdzie się znajduję, jestem jak pijany, oszołomiony tym, co się wokół dzieje. Nagle widzę przed sobą ogromnego Kozaka. Pędzi wprost i mierzy we mnie grotem swej piki. Zanim zorientowałem się, już ostrze lancy błysnęło obok i już miałem poczuć jej pchnięcie, gdy naraz huknął strzał, lanca upadła drasnqwszy mnie po udzie, a koń mój z impetem, całą siłą rozpędu, wpadł na konia mego przeciwnika. Obejrzałem się, chcąc zobaczyć, kto mnie uratował od śmierci. Był to nasz syn pułku, piętnastoletni Leonek Podrez, który akurat jechał za mną.

Bolszewicy wreszcie załamali się i rzucili do ucieczki. Co koń wyskoczy pędzą do wsi, szukając schronienia. Szwoleżerowie jadą im na karkach i razem z nimi wpadają do wsi. Nieprzyjaciel jest w matni. Bolszewicy w wąskich optytkach i zagrodzeniach zbili się w kupę i przyparci do zabudowań w popłochu tratują się wzajemnie, spychają z koni i giną od szabel polskich. Szwoleżerowie w zapamiętaniu rąbią, kłują, strzelają z pistoletów i karabinków wprost skłębionych kozackich ciał. Nie ma litości, tylko bezpardonowa, okropna rzeź. (...)

Przebrzmiały odgłosy wystrzałów, ucichła wrzawa walczących i pole zaległa cisza. Żołnierze, zsiadłszy z koni, chodzą po polu śmierci i oglądają swoje żniwo. Trupy leżą gęsto. Wielu jeszcze dogorywa w ostatnich drgawkach. Przykry widok. Zatrzymuję się przy jednym. Młody, rosty i zgrabny chłopak leży wyciągnięty na wznak z rozłożonymi rękoma. Głowę ma przechyloną w tył, oczy przymknięte i piękną twarz, okoloną ciemnymi kędziorami włosów.

Twarz śmiertelnie blada, jednak spokojna, niezszpecona cięciem szabli, tylko z uchylonych ust płynie wąziutka, purpurowa wstążka krwi. Spod rozpiętego na piersiach munduru widać koszulę, a na niej dużą plamę krwi. Dostał kulę w serce, ponosząc śmierć od razu. Z bocznej kieszeni munduru widać portfel wypchany papierami. Zaciekawiony osobą zabitego wyjąłem portfel. Są tam listy, fotografie i trochę sowieckich rubli. W mundurze na koniu to on sam na zdjęciu. Na drugiej fotografii starsza kobieta, pewnie matka. Na trzeciej widać uśmiechniętą buzię ślicznej blondynki. (...)

## **ŁOPATYN**

Jedziemy przez nieznaną dotychczas nam teren, napotyając co chwila na ślady okopów i dawnych pozycji wojny światowej. Pracowita ludzka ręka zdołała już częściowo zasypać rowy strzeleckie, wyrównać nasypy, oczyścić pola z zasieków drutu kolczastego. Oderwany hukiem armat i krwawą pozągą wojny rolnik galicyjski wrócił na swój zagon, aby w pocie czoła doprowadzić go do pierwotnego stanu. Ślady jednak, w postaci zburzonych domostw, sterczących samotnie pni drzew, dołów po pociskach artyleryjskich, pozostaną jeszcze długo.

Całe wioski, które niegdyś stroiły pejzaż bielą chat, zielenią sadów, obecnie straszą rumowiskiem i kikutami rozwalonych kominów. Ludzie mieszkają w ziemiankach i naprędce skleconych szopach. Spoglądają trwożliwie na nas, bo wiedzą, że znów mogą zagrznieć strzały i powrócą te chwile sprzed lat, chwile straszne, które do dziś na samo wspomnienie wstrząsają dreszczem zgrozy.

Po parogodzinnym marszu zbliżamy się do Łopatyna. Tu rozlokowały się już nasze oddziały, a poza miastem linią ciągną się pozycje naszych wojsk. Zapada wieczór. Zsiadłszy z koni, czekamy w ostrym pogotowiu na wypadki, jakie odegrać się mają. Na razie panuje cisza, światła ani ogni nie wolno palić. Otacza nas zupełna ciemność.

Spodziewamy się, że nieprzyjaciel lada chwila rozpocznie akcję. Jakoż niedługo na lewym skrzydle zatrajkotały karabiny maszynowe.

– Zaczyna się! – odezwał się któryś z żołnierzy

– Nie będziemy tej nocy spać! – dodał drugi.

Walka rozgorzała na pierwszej linii na dobre. Widać rzędy błyskających ogni wystrzałów i zaczyna bić artyleria. Kule gwizdzą w powietrzu, bijąc z trzaskiem w drzewa i budynki. Pociski padają, wystraszając coraz częściej z domów przerażonych mieszkańców, którzy w popłochu biegną, nie wiedząc, gdzie się ukryć. Słychać płacz dzieci, zawodzenie kobiet.

Rozbrzmiewa naraz okrzyk: hurra! Nieprzyjaciel ruszył do ataku. Strzelanina wzmagą się, wrzawa bitewna rozlega się coraz donośniej i zbliża ku nam, wreszcie pada komenda:

– Wycyfować się!

Dosiedliśmy czym prędzej koni i kłusem ruszyliśmy za miasto. Jadąc ciemną ulicą, koń mi się raptem potknął, padając na kolana, ja zaś, nie spostrzegłszy się, wyleciałem z siodła i dawszy kozła przez tęb koński, upadłem na ziemię. Jadący za mną o mały włos byłiby mnie roztratowali. Całe szczęście, że się szybko poderwałem na nogi i zacząłem wołać, aby uważali.

Za chwilę dosiadłem konia i podążyłem za swoimi. Wycofaliśmy się wszyscy, zajmując pozycję w odległości około dwóch kilometrów od miasta.

Bolszewicy tymczasem, grząc bez przerwy, wtargnęli do miasta, po czym uciszyło się.

Jednak pozorny ten spokój trwał krótko. Skoro tylko szary świt rozproszył ciemności, walka rozpoczęła się na nowo.

Trzymamy się przez pewien czas na swej pozycji. Jednak bolszewicy naciskają coraz natarczywiej i kiedy wspomagani przez jazdę gęstą tyralierą ruszyli do ataku, dostaliśmy rozkaz wycofania się. Pozostał drugi szwadron, aby ostanąć odwrót.

Ustawiczna walka, ciągłe zmagania się z silnymi oddziałami wroga, brak wytchnienia i chwili spokoju już tak dosadnie nam dokuczyły i obrzydły, że niejeden wołałby dostać kulę w łeb, niż tak stale i dniem, i nocą żyć w ciągłym trudzie i niepokoju, bez nadziei na lepsze jutro.

Jest nas garstka zaledwie. Szwadron nasz liczy około stu ludzi. Po porażce pod Mikołajowem nie możemy się skompletować. Wielu żołnierzy pogubiło się gdzieś. Panuje ogólne przygnębienie i żołnierze, ci, co kiedyś rwali się do walki, obecnie tylko występują w obronie własnego życia, walczą tylko dlatego, że im tak nakazuje instynkt samozachowawczy, chęć odwetu i niezaspokojona żądza zemsty. (...)

Wieczorem zajęliśmy na kwatery wioskę pod nazwą Berlin. Wieś prawie pusta. Mieszkańcy, przestraszeni walkami, jakie tu od paru dni trwały, puciekali. W chatkach pusto, ani odrobiny żywności. Tabory nasze z prowiantem pozostały gdzieś na tyłach. Nie ma absolutnie co do gęby włożyć. Nawet kartofle na pobliskich polach żołnierze zdążyli wygrzebać. W ogródku przy chacie znalazłem parę korzonków marchwi i to stanowiło całą moją kolację. Dopiero nazajutrz przywieźli nam dwa wozy świeżego białego chleba. Wiara rzuciła się do wozów, nie czekając na rozdział chleba. Mnie samemu udało się ściągnąć trzy bochenki dwukilowe. Jak nigdy w życiu chleb mi tak smakował, że zjadłem od razu całą bochenek. Spokój i cisza na naszym odcinku przekonały nas, że nieprzyjaciel opuścił swoje stanowiska albo co innego zamierza. Toteż około południa ściągnęły wszystkie szwadrony do Berlina, skąd mieliśmy wyruszyć dalej.

Nagle obiega między nami wesoła wieść! Mamy opuścić dotychczasowy teren walk i wyjeżdżamy do Warszawy.



## BOJE O WARSZAWĘ

Pociąg nasz pędzi przez Lwów, Przemyśl na Rozwadow i Lublin.

Na stacjach widać ożywienie i gorączkowy ruch. Wszędzie biją w oczy porozlepiane plakaty kolorowe jedynej dziś aktualnej treści: „Idź na front!”, „Nie damy ziemi!”, „Ojczyzna woła!”, „Do broni!” i tym podobne.

Na postojach wszędzie są czynne kantyny żołnierskie, gdzie otrzymujemy bezpłatnie różne wiktuały, takocie i papierosy. Przyjmują nas wszędzie z radością i uwielbieniem jak swych zbawców.

Jesteśmy bohaterami chwili. Mężczyźni patrzą na nas z uwielbieniem, zasypując pytaniami odnośnie do walk stoczonych, podziwiając naszą marsową postawę. Kobiety otaczają nas czułością, dbając o nasze pożywienie i wygodę. Wyciągają ze swych koszyków owoce, słodycze lub papierosy, wciskając w ręce żołnierzy odjęte może nieraz od ust pożywienie. Dziękujemy im serdecznie. (...)

Pociąg wlece się niemilosiernie powoli, aż nareszcie zatrzymuje się na stacji Warszawa Główna Towarowa. Dobiega godzina jedenasta w nocy. Stacja jest słabo oświetlona. Na rampach pełno żołnierzy różnych rodzajów broni. Ruch, rwetes, nad miastem zalega cisza. Nie widać świateł ani wspaniałych reklam neonowych. Nie słychać dzwonek tramwajowych ani trąbki samochodowej. Jedziemy przez miasto jakby wymarłe, tylko słychać tupot koni na bruku, jakąś krótką, urywaną komendę i dudnienie kół armatnich. (...)

Miasto przedstawia niesamowity widok. Ponure ciemności ogarniają ulice, migocą zaledwie numery przy bramach. Zdałoby się, że wymarło zupełnie i jakaś przerażająca pustka wзира z każdego wylotu ulicy.

Snują się tylko chodnikami patrole żołnierzy. Życie na ulicach zamarło zupełnie. Gdzież te barwne korowody przechodniów, rozświetlone reklamy kin, gwarne restauracje? Czyżby naprawdę warszawiacy opuścili swoje mieszkania w obawie przed wrogiem? Czy tylko jest to zwykła późna noc i wszyscy śpią snem spokojnym? Z niektórych okien zza kotary sączą się szparą światła.

Dojeżdżamy do swoich koszar, skręcamy na plac pomiędzy stajniami i zsiadamy z koni. Dowódca rozkazuje powiązać konie przy barierach, rozsiadłać je i przygotować sobie na placu przy koniach nocleg.

Koszary i stajnie są zajęte przez ochotnicze oddziały sformowane przy kadrze naszego pułku. Nanosiliśmy więc ze stajen słomy i siana i urządziliśmy sobie legowisko. Niebo wypogodziło się, przestało padać i jasny księżyc rzucił blask światła na ziemię. Zza Wisły od strony Radzimina rozlega się grzmot armat. Chwilami przycicha, to znów wybucha gwałtownie. Znać, że gdzieś tam toczą się ciężkie zmagania. (...)

Mijamy Cytadelę Warszawską, Bielany, kierując się przez Jabłonnę do Modlina. (...)

O zmroku zatrzymujemy się w Modlinie. Rozkładamy się obozem w pobliskim lesie na nocleg. Napoiiliśmy konie, przynieśliśmy siana i popuściwszy popręgi, kładziemy się spać obok swych koni. Noc pogodna i ciepła. Na razie panuje cisza. Dopiero około

północy gruchnęły zmasowanym ogniem forteczne ciężkie działa. Zakotłosała się ziemia od niesamowitego huku armat. Wszyscy zerwali się ze snu zaniepokojeni straszliwą kanonadą. (...)

Nad ranem artyleria ucichła, słysząc tylko było rechotanie karabinów maszynowych i okrzyki – hurra! Aż wkrótce i te odgłosy gdzieś oddaliły się i ucichły.

Po śniadaniu dostajemy rozkaz wymarszu. Jedziemy w kierunku Narwi. Na rzece już saperzy zmontowali most pontonowy. Przejeżdżamy za rzekę, gdzie przed paru godzinami były stanowiska wroga. Widać linię okopów, a na niej zrytą pociskami ziemię zmieszaną z krwawymi szczątkami ludzi, koni i sprzętu bojowego.

Znać, że tędy przeszła nasza piechota, która po tak straszliwym przygotowaniu artyleryjskim niewiele miała z wrogiem do roboty.

Jedziemy bez przeszkód w kierunku Nowego Miasta. Po drodze spotykamy wiwatujących na naszą cześć mieszkańców, rozbite wozy i armaty bolszewickie oraz wiele porzuconej broni, amunicji i sprzętu wojskowego. Znać, że wróg wycofywał się w pośpiechu.

W Nowym Mieście zatrzymaliśmy się na obiad. Nastrój wśród żołnierzy doskonały. Napór wojsk bolszewickich przełamany. Jak nas dochodzą wieści, Armia Czerwona wycofała się gdzieś za Płońsk. Nadjeżdża auto wojskowe z grupą oficerów. Zatrzymuje się na ulicy. Oficerowie z dowództwa sztabu naszej dywizji podskakują z uciechy. Są między nimi dwaj oficerowie francuscy. Dowiadujemy się, że pod Radzyminem bolszewicy ponieśli sromotną klęskę i cofają się, że pod Zamościem wielotysięczna dywizja konna Budionnego wpadła w okrążenie i nasi ułani ją likwidują. (...)

## **ARCELIN**

Ciepły, słoneczny dzień 16-go sierpnia 1920 roku. Wyjechaliśmy o dziesiątej rano całym pułkiem do Baborzewa, kierując się przez Arcelin w stronę rzeki Działdówki, gdzie nieprzyjaciel prawdopodobnie zajął stanowiska. (...)

Przed nami ciągnie się odkryte pole. Mierzmy oczyma zmniejszającą się między nami a wrogiem przestrzeń. Już są od nas na sześćset kroków, za chwilę na pięćset, docierają na czterysta, zatrzymują się, otwierają ogień karabinowy. My zaś nie strzelamy wcale. Stoimy milczący, trzymając konie krótko w cuglach, gotowi w każdej chwili zerwać się do skoku.

Bolszewicy znów ruszają naprzód, zaintrygowani naszym milczeniem; może sądzą, że w ogóle bronić się nie będziemy. Żołnierze na widok zbliżających się bolszewików niepokojnie kręcą się na koniach. Denerwuje ich długie wyczekiwanie, jednak nasi dowódcy przezornie starają się wyczekać chwili, kiedy nieprzyjaciel jak najbliżej się podsunie, abyśmy w parę sekund mogli w galopie runąć na jego pierwszą tyralierę.

Wtem bolszewicy podnieśli ogromną wrzawę i ruszyli pędem do wsi. Zaroiło się pole od nieprzyjaciół. Opasujące nas koło ścieśniło się tak, że jeszcze minuta, dwie, a dopadną do wsi.

– Marsz! Marsz! Chłopcy, hurra! – padła komenda i jak jeden, ulicami, pomiędzy budynkami ruszyliśmy na pole, podniósłszy bojowy okrzyk.

Zadudniła ziemia pod kopytami koni i błysnęło groźnie sześćset szabel.

Zdumiali się bolszewicy, ujrawszy gromadę pędzących kawalerzystów. Rozległy się gorączkowe głosy komendy i tyraliera bolszewicka, padłszy błyskawicznie na ziemię, rzygnęła nam w oczy gradem kul. Padła salwa, po tym druga, świsnęły kule.

Bolszewikom drżą ręce, bo już widzą, że za moment runie na nich ława rozpedzonych koni, że błyszczące w słońcu groźne ostrza naszych szabel spadną im na karki.

Nie zdążyli jeszcze po raz trzeci dać ognia, a już ich dopadamy. Zrywają się z ziemi, wyciągają groźne kły bagnetów, lecz nadaremnie. Nic nas nie wstrzyma w pędzie.

Runęliśmy na zbitą ciżbę piechoty, szczęknęły szable o stal bagnetów. Bolszewicy już nie kłują, jeno podnoszą kolby karabinów nad głowami, oślaniając się przed ciosami szabel. (...)

Bolszewicy mieszają się. Jedni rzucają broń i poddają się, inni uciekają jak stado owiec w popłochu, a szwoleżerowie, zmieszani z nimi, jadą, tratując kopytami i tnąc, aż skry się sypią. Sekund kilka i wpadamy na drugą linię wroga. (...)

Oficerowie krasnoarmiejców starają się wszelkimi siłami zatrzymać swych żołnierzy, wszak widzą, że nas jest garstka, że mogliby nas prawie czapkami nakryć, jednak na próżno.

Strach ma wielkie oczy. „Rebiata”, dawszy zaledwie kilka wystrzałów w górę, rzucają broń i uciekają, ile sił w nogach.

Rozgrzani walką szwoleżerowie pędzą dalej, konie z trudem torują sobie drogę kopytami w mrowiu nieprzyjaciół, ręce omdlewają od ustawicznego rąbania, jednak przemy wciąż naprzód, zostawiając rozgromione pułki piechoty sowieckiej za sobą.

Trzecia i czwarta linia nieprzyjacielska, nie czekając na nasze uderzenie, rzuca broń zawczasu i z podniesionymi w górę rękoma na znak poddania, zbiwszy się w kupę, stoi nieruchomo. (...)

Dołączamy do naszych szwadronów, a tu przedstawia się oryginalny widok. Dwie ogromne kolumny ustawionych czwórkami jeńców stoją karnie w szeregach, czekając na rozkaz odmarszu.

Kilkunastu szwoleżerów z karabinami w rękę czuwa nad nimi na straży.

Bolszewicy stoją wystraszeni i zrezygnowani. Niektórzy pospuszczali głowy na dół, spoglądają tylko ukradkiem na nas, myśląc sobie zapewne w wyrzucie, że jacy byli oni nierozsądni, żeby takiej garstce szwoleżerów dać się pobić i zabrać do niewoli. Szli tyle czasu, tyle forsownych marszów odbyli, aby zdobyć Warszawę, żeby tam obłupić się bogactwami, żeby popić i podjąć „charaszo”, żeby „wyrzwać” panów, żeby pohulać z „krasawicami”, aż tu marzenie przysło. Idą do Warszawy, ale nie jako zwycięzcy, lecz pędzeni haniebnie niewolnicy.

Nasi żołnierze i oficerowie wprost szaleją z uciechy. Od początku wojny, pomimo wielu odniesionych zwycięstw, jeszcze takiego fasonku nie mieliśmy.

Dwieście kulomiotów, armata, całe kupy karabinów i tysiąc trzysta jeńców, to dla naszej garstki zdobycz nie lada!

Za chwilę ruszyły kolumny jeńców, eskortowane przez pluton szwoleżerów, w stronę Płońska. (...)

## **SMARDZEWO**

Jedziemy przez okolice powiatu ciechanowskiego. Bolszewicy cofnęli się gdzieś daleko, tak że nie spotkamy ich dziś wcale.

Po drodze spotykamy grupy mieszkańców, którzy wylegają gromadnie przed chaty, głośno manifestując swą radość na widok polskich żołnierzy.

Na zapytanie nasze o bolszewików odpowiadają nam z uciechą, że już uciekli. Nie szczędzą przy tym drwin i docinków pod ich adresem. Wszyscy już są pewni, że kariera czerwonej armii już jest na schyłku. Nikt nie wątpi, że za tydzień, najdalej miesiąc ani jednego bolszewika już nie będzie na naszej ziemi. Jednak jak dziwne nieraz i zmienne są losu koleje. (...)

Teraz rozbite i zdemoralizowane armie sowieckie cofają się pośpiesznie, ustępując przed ścigającymi je pułkami naszych żołnierzy. (...) Rozbite oddziały nieprzyjacielskie szukają schronienia po lasach i zapadłych wioskach kurpiowskich, lecz tam ich los jest przesądzony.

Uzbrojeni w zdobyte karabiny bolszewickie, a nierzadko w drągi, widły i kłonicie wieśniacy polscy wykańczają ich do reszty. Widzą to krasnoarmiejcy, że śmierć z każdej strony czyha na nich, uciekają więc czym prędzej lub zrezygnowani tłumnie idą w niewolę.

Samoloty polskie ścigają uchodzące kolumny nieprzyjacielskie, zasypując je kulami z karabinów maszynowych. Słowem, wszędzie pali się ziemia pod nogami bolszewików.

## **EPILOG**

Po dwutygodniowym odpoczynku w Woli Szydłowskiej wyjechaliśmy przez Dęblin, Lublin, Rejowiec do Chełma nad Bugiem. (...)

Kolejno zajmowaliśmy wsie, osady i miasteczka, to, co nam w lipcu odebrano. Zajęliśmy Włodzimierz, Łuck i dotarliśmy do Równego. (...)

Pewnej nocy, kiedy pojechałem spatrolować jakąś wieś zajęta przez Kozaków, zauważyłem, że nie zabezpieczyli się oni żadną wartą, i kiedy natknąłem się na wychodzących z chaty Kozaków, ci oświadczyli, że chcą się oddać w ręce Polaków z całym swoim pułkiem.

Zgłosiła się do nas delegacja oficerów, których zaprowadziliśmy do naszego dowództwa.

Na drugi dzień rano pojechaliśmy do wsi, gdzie kwaterowali Kozacy. Stali wszyscy na dużym dziedzińcu w dwuszeregu, z bronią ustawioną w kozły. Kiedy podjechali nasi oficerowie, dowódca kozacki zameldował o stanie liczebnym swoich ludzi i oddał szablę.

Nasz major szabli nie przyjął, podał tylko Kozakowi rękę jako naszemu sprzymierzeńcowi. Za chwilę na rozkaz kozackiego dowódcy przyprowadzono osadzonego pod straż komisarza sowieckiego, który był faktycznie dowódcą pułku z ramienia bolszewickiej partii, oddając go do naszej dyspozycji.

Major Grobicki odmówił przyjęcia jeńca, zostawiając go Kozakom.

– Na co zastużył, sami najlepiej wiecie, oszczędźcie go według własnego sumienia!  
– powiedział major.

Dowódca Kozaków wezwał do siebie starego Kozaka imieniem Waśka i oddał komisarza w jego ręce. Stary Waśka odprowadził komisarza na gościniec i gdy ten próbował mu uciec, rzucił w niego karabinem pod nogi tak, że ten upadł, zaś Waśka podskoczył błyskawicznie, podniósł za lufę karabin do góry i trzasnął zamkiem komisarza w głowę, rozłupując czaszkę jak skorupę orzecha. (...)

W pewnej chwili, kiedy wraz z 201 pułkiem szwoleżerów likwidowaliśmy o dwadzieścia kilometrów za Korosteniem gniazdo beznadziejnego oporu sowieków, przyjechała do nas delegacja sowieckich parlamentarzystów z wiadomością, że między dowództwem polskim a sowieckim zostało zawarte zawieszenie broni.

Przyjęliśmy tę wiadomość z ulgą, ale również z pewnym zakłopotaniem Narzuciło się pytanie:

– Co my teraz będziemy robić, skoro wojna się skończyła?

Przez wiele miesięcy przywykliśmy do krwawego rzemiosła i zdawało nam się, że to nasz jedyny fach, że nic innego nie potrafimy.

Jednak każdy miał już dosyć wojny i chciał odpocząć nerwowo i fizycznie. Jeńcy sowieccy bardzo się ucieszyli tą wiadomością, ponieważ wiedzieli, że skoro mir, to i oni po wymianie wrócą do swoich domów zdrowi i cali.

Wracamy więc na linię rzeki Słuczcy, która według umowy ma stanowić tymczasową granicę między Rosją a Polską. (...)

W drugiej połowie października zajmujemy kwatery we wsi Lipki. Jest tam duży majątek z pałacem hrabiego Tyszkiewicza. Interesuje mnie stary pałac zabytkowy. Właściciele uciekli, a pałac stoi zamknięty, uprzednio obrabowany przez bolszewików. Z kolegą Chrapkiewiczem weszliśmy do środka. Piękne, bogate sale, pokoje, meble złośliwie poniszczone. Biblioteka ze stosami książek rozrzuconych po podłodze. Aż żal patrzeć, że tyle dobra i skarbów niszczyje.

Przez tajne przejście w kratkach na marmurowym basenie fontanny dostaliśmy się do piwnic pałacowych. Tam w jednej z nich odkopaliśmy rękoma zachowane przed grabieżą wina i różne napoje od lat wielu tam leżące. Wzięliśmy ze sobą parę pękatek gąsiorków, aby poczęstować kolegów.

Trzeba trafu, że podczas wieczornego apelu wachmistrz szef Janik przeczytał nam rozkaz pułkowy, że wszyscy uczniowie szkół średnich zostają zwolnieni celem ukończenia szkoły. W tej liczbie znaleźliśmy się obaj z Chrapkiewiczem.

Koledzy nam gratulują na kwatery, że wracamy do Warszawy. My też się cieszymy, ale mamy kłopot, co zrobić ze znalezionymi napojami. Jutro rano mamy zameldować się w dowództwie pułku i natychmiast kolejną z Równego jechać do Warszawy.

W tej sytuacji nie ma czasu do stracenia. Stawiamy kolegom alkohol na pożegnalny wieczór. Są zachwyceni smakiem napoju i robią się pijani. Korzystając z zamieszania, idziemy z workami do pałacowej piwnicy i całą noc pracujemy, znosząc paręset butelek do stodoły gospodarza. Butelki owinięte grochowinami pakujemy do worków, a nazajutrz gospodarz hojnie wynagrodzony odwozi nas do Równego.

Stamtąd na drugi dzień wieczorem ładujemy się do pociągu i jedziemy w liczbie 40. do Warszawy. W wesółych humorach pod alkoholem podróż nam szybko mija.

Po małych perturbacjach w dowództwie kadry na Ułańskiej dostajemy zwolnienie i zaległy żołd i wraca każdy do swego domu. Pozostałe do wypicia wina sprzedaliśmy jakiemuś knajpiarzowi w Warszawie.

Do domu przywozłem garniec nalewki śliwkowej.

Tak zakończyła się dla mnie wojna, która kosztowała mnie wiele trudu i cierpień. Piękne młodzińcze lata zostały zatrute okrucieństwem wojny.

Podał do druku Arkadiusz Chabiera